

„Brutalnie szczera, pełna czarnego humoru relacja z najistotniejszego etapu kariery medycznej”. DISCOVER

PRAWDZIWY
LEKARZ
BĘDZIE
ZA CHWILĘ

Rok z życia
stażysty

Matt McCarthy

Wkrótce po tym, jak zostałem mu przedstawiony w kafeterii, uniósł skórkę banana, przedał ją na pół i zapowiedział:

– Nie tkniesz żadnego z moich pacjentów, dopóki tego nie zszyjesz. – Sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wręczył mi igłę i nić, a potem mnie splawił. – Rozpracuj to sobie, gdzie chcesz – nakazał. – I przestań zgrzytać zębami.

Na początku nie wiedziałem, co robić; przecież żaden inny student medycyny nie dostał takiego zadania, a ja zbyt słabo znałem miejsce nazywane przez nas Najwspanialszym Szpitalem Ludzkości, żeby znaleźć kogoś, kto mógłby mi pomóc. Uniósłem skórkę ostrożnie, jakby była rannym ptakiem, i zacząłem przemierzać długie korytarze, zaglądając do przypadkowo wybranych pomieszczeń. W końcu wróciłem tam, gdzie rozpocząłem swój dzień – do biblioteki chirurgicznej, w której pracownik administracyjny wręczył naszej kilkunast osobowej grupce foldery z zarysem stojących przed nami zadań. I nie było tam wzmianki o skórkach bananów.



**PRAWDZIWY
LEKARZ
BĘDZIE
ZA CHWILĘ**

Matt McCarthy

**PRAWDZIWY
LEKARZ
BĘDZIE
ZA CHWILĘ**

Rok z życia stażysty

przełożył
Jarosław Włodarczyk

BUKOWY  LAS

TYTUŁ ORYGINAŁU: *The Real Doctor Will See You Shortly. A Physician's First Year*

Copyright © 2015 by Matt McCarthy

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone

Published by arrangement with Waxman Literary Agency, New York,
and Macadamia Literary Agency, Warsaw.

Copyright © for the Polish edition and translation by

Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., 2020

ISBN 978-83-8074-262-8

PROJEKT OKŁADKI: Paweł Cesarz

FOTOGRAFIE NA OKŁADCE: National Cancer Institute / Unsplash, Pexels,
Unsplash

REDAKCJA: Sztuka i Słowo, Daria Demidowicz-Domanasiewicz

KOREKTA: Bogusława Otfinowska

REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

WYDAWCA:

Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

Adres do korespondencji:

ul. Sokolnicza 5/21, 53-676 Wrocław

www.bukowylas.pl

WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:

Dressler Dublin Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. (+ 48 22) 733 50 31/32

e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl

www.dressler.com.pl



DRUK I OPRAWA: Abedik S.A.

Dla Heather

Wydarzenia, które opisuje ta książka, są prawdziwe i dotyczą rzeczywistych osób. Jednak w celu zachowania prywatności pacjentów i poufności odnoszących się do nich informacji dokładnie zweryfikowano jej treść, tak by była zgodna z ustawą Health Insurance Portability and Accountability Act (HIPAA). W związku z tym zmieniono pojawiające się w niej nazwiska, daty oraz wiele innych szczegółów umożliwiających identyfikację pierwowzorów postaci. W jednym przypadku stworzono postać z kilku różnych osób.

Prolog

Zaczęło się od skórki banana.

Po ponad dwudziestu miesiącach cichej, spokojnej nauki w bibliotekach, laboratoriach i salach wykładowych Harvard Medical School latem 2006 roku nastąpił wreszcie przełom, jakim jest przejście do szpitalnej praktyki. Na trzecim roku studiów medycznych gwałtownie kończy się zabawa w koła naukowe i zdawanie kolejnych egzaminów. Dręczył mnie niepokój. Lubilem spać. Nie byłem pewien, czy poradzę sobie z brutalną krytyką. Wiedziałem też, że mam zespół jelita nadwrażliwego.

Najpierw trafiłem na chirurgię na trzymiesięczny cykl – sto dwadzieścia godzin pracy w tygodniu – w Massachusetts General Hospital, mający wyłonić garstkę przyszłych chirurgów w grupie liczącej stu sześćdziesięciu pięciu studentów. Pierwszego dnia przydzielono mnie do zespołu Axela, chirurga na piątym roku rezydentury. Był to zasuszony człowiek ze świdrującymi niebieskofioletowymi oczami i ogromnym jabłkiem Adama sprawiającym, że gdy zaczynał mówić, natychmiast odwracałem wzrok. Bez cienia przesady można go było opisać jako jednego z Nieumarłych; większą część młodości poświęcił na zdobycie wykształcenia chirurgicznego na najwyższym światowym poziomie, ale nie był pewien, czy dobrze na tym wyszedł.

Wkrótce po tym, jak zostałem mu przedstawiony w kafeterii, uniósł skórkę banana, przedał ją na pół i zapowiedział:

– Nie tkniesz żadnego z moich pacjentów, dopóki tego nie zszyciesz. – Sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wręczył mi igłę i nić, a potem mnie splawił. – Rozpracuj to sobie, gdzie chcesz – nakazał. – I przestań zgrzytać zębami.

Na początku nie wiedziałem, co robić; przecież żaden inny student medycyny nie dostał takiego zadania, a ja zbyt słabo znałem miejsce nazywane przez nas Najwspanialszym Szpitalem Ludzkości, żeby znaleźć kogoś, kto mógłby mi pomóc. Uniosłem skórkę ostrożnie, jakby była rannym ptakiem, i zaczęłem przemierzać długie korytarze, zaglądając do przypadkowo wybranych pomieszczeń. W końcu wróciłem tam, gdzie rozpocząłem swój dzień – do biblioteki chirurgicznej, w której pracownik administracyjny wręczył naszej kilkunastoosobowej grupce foldery z zarysem stojących przed nami zadań. I nie było tam wzmianki o skórkach bananów.

Rozglądając się po sali obwieszanej portretami osób, których nie znałem, choć powinienem, przypomniałem sobie, co powiedział mi raz pewien poirytowany profesor: „Kiedy pacjent ma atak serca, student Harvardu odruchowo pobiegnie nie do pacjenta, ale do biblioteki, żeby przeczytać o bólach klatki piersiowej. Proszę nigdy tak nie robić”. A jednak znalazłem się w otoczeniu książek, a nie pacjentów.

Zdjąłem jedną z nich z półki i przewertowałem stronicę. Co robili teraz koledzy z mojej grupy? Uczyli się myć do operacji? Asystowali przy usuwaniu wyrostka robaczkowego? Pęcherzyka żółciowego? Właśnie tego oczekiwałem od tej praktyki: uczestnictwa w prawdziwej chirurgii, a nie bawienia się resztkami jedzenia. Czy wszystko to naprawdę miało czekać do chwili, aż poradzę sobie z tym zadaniem? Z westchnieniem spojrzałem na skórkę.

Pewnie mógłbym ją jakoś pozwiązywać na kokardę, ale przecież nie o to chodziło. Zakładanie szwów obejmuje zestaw

konkretnych technik prowadzących do tworzenia węzłów, które pozostawiają bardzo niewielki ślad – takich, jakie są potrzebne do zamknięcia rany. Jednak znalezione przeze mnie instrukcje nie na wiele się zdały. Stronice zapełniały szczegółowe opisy nieprzeniknionych struktur anatomicznych oraz rysunki przedstawiające skomplikowane operacje narządów wewnętrznych – wszystko to było zdecydowanie zbyt zaawansowane jak na moje potrzeby.

Rezultat moich początkowych prób mógłby być idealną podstawą do wytoczenia procesu o błąd w sztuce lekarskiej. W głowie kotłowało mi się od pomysłów: Może zapłacić jakiemuś przepracowanemu rezydentowi, żeby pokazał mi, jak zakładać szwy? Albo wziąć superglue i skleić to diabelstwo? I powiedzieć, że użyłem rozpuszczalnych nici?

Usłyszałem pukanie do drzwi i zamknąłem książkę. Dobiegł mnie głos z korytarza:

– Pomógłby ktoś?

Otworzyłem drzwi i napotkałem wzrok łysiejącego mężczyzny w drucianych okularach. Siedział na wózku inwalidzkim.

– Dzień dobry – powiedziałem, jakbym przyjmował nieproszonego gościa. Uznałem, że to jakiś zagubiony pacjent. Jednak on minął mnie, wjechał do środka i włączył drugi zestaw świateł.

– Jestem Charlie – przedstawił się. – A ty pewnie jesteś...

– Matt. Nowy stażysta.

Twarz mu pojaśniła i zdjął okulary.

– Charlie McCabe – dodał. – Miło mi.

Wzdrygnąłem się na dźwięk tego nazwiska. Gdy McCabe zaczynał rezydenturę w Massachusetts General Hospital w latach siedemdziesiątych, należał do najbardziej obiecujących chirurgów swego pokolenia. Pod koniec kształcenia został przyjęty na program kardio-torakochirurgii w tym szpitalu, ale tuż przed jego ukończeniem zaczął odczuwać mrowienie w rękach. Wkrótce zdiagnozowano u niego stwardnienie

rozsiane, co oznaczało, że nie będzie mógł operować. McCabe zaczął prowadzić zajęcia z chirurgii, a teraz kierował praktykami chirurgicznymi w MGH. Kilkakrotnie wybierano go na wykładowcę roku Harvard Medical School, a każdy student znał jego wstrząsający życiorys.

– Jesteś kilka minut za wcześnie – zauważył. – Zamierzałem was wezwać. Omówimy podstawy tych praktyk.

Siadając, rozejrzałem się za miejscem, w którym mógłbym położyć skórkę.

– Szukasz kubła na śmieci? – spytał McCabe, wskazując głową pojemnik stojący w rogu.

– Mój, hm, rezydent dał mi to dzisiaj, żebym...

– Axel i jego obierki. – McCabe szeroko pokręcił głową.

– Tak.

– Spróbuj po swojemu, a jeśli nic z tego nie wyjdzie, to ci pokażę.

– Naprawdę?

– Spróbuj po swojemu.

Przez następne trzy dni o szóstej rano zgłaszałem się do biblioteki chirurgii, gdzie spędzałem kolejne irytujące godziny, pastwiąc się nad coraz ciemniejszą, coraz bardziej sflaczałą skórką banana. Pod koniec trzeciego dnia wpadłem na McCabe'a w pobliżu wejścia do szpitala.

– Udało się? – spytał. Uniosłem sfatygowaną obierkę. Skrzywił się i zakomenderował: – Do mojego gabinetu.

Gdy weszliśmy do jego pokoju, siadłem, a on podał mi leżący na biurku zestaw do zakładania szwów.

– Technika to podstawa – zaczął. – Jesteś prawo- czy leworęczny?

– Lewo.

– Mańkut! – orzekł. – W porządku.

Ostatni raz usłyszałem to określenie na boisku bejsbolowym, kiedy wydawało się, że moje życie potoczy się w zupełnie

innym kierunku. Zanim poznałem McCabe'a, spędziłem dwa lata w drużynie bejsbolowej Yale, marząc o karierze zawodowego sportowca. Tydzień po uzyskaniu licencjatu, podczas dwudziestej pierwszej rundy naboru do Major League Baseball 2002 roku, zostałem zwerbowany przez drużynę Anaheim Angels i rozpocząłem grę w drugoligowej drużynie w mieście Provo w stanie Utah.

Jednak szybko stało się jasne, że naszemu bohaterowi nie była pisana kariera zawodowego bejsbolisty. To właśnie podczas tego pełnego przemyśleń lata w drugiej lidze zaakceptowałem słowa wypowiedziane przez moją siostrę na Florydzie, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi: należałem do tych bardzo nielicznych sportowców, którym po prostu nie jest do twarzy w bejsbolówce. Zatem krótki, acz pamiętny rozdział mojego życia, który spędziłem w charakterze początkującego bejsbolisty, dobiegł końca, a ja złożyłem papiery na uczelnie medyczne. Harvard przyjął mnie w tym samym miesiącu, gdy zostałem odrzucony przez Angelsów.

McCabe drżącą ręką ustawił moją dłoń nad skórką banana i ocenił krawędzie łupiny. Staralem się tego nie okazać, lecz jego dotyk przyprawił mnie o dreszcz; jego dłoń wydawała się równie delikatna jak skórka banana. Jednak pomimo drżenia poruszał ręką z niezwykłą swobodą. Jego pewność siebie i wprawa nie osłabły. Mogłem sobie wyobrazić, jak dobry musiał być w przeszłości.

– Nie wchodzi za głęboko – instruował mnie, odnosząc się do głębokości wkłucia igły. – Ale zrób to pewnie i zdecydowanie.

Założyłem jeden szew, a on pokręcił głową.

– Nie było źle. Ani dobrze. Jeszcze raz.

Wyjąłem igłę i zastanowiłem się nad kolejnym ruchem.

– Myślisz – zauważył. – Nie myśl. Działaj.

Założyłem kolejny szew i skórka się zeszała.

– Doskonale.

Na chwilę przypomniała mi się scena lepienia garnków z filmu *Uwierz w ducha*. To, co z początku szło niezdarnie, szybko stało się przyjemnym zajęciem. W ciągu kilku minut skórka została zszyta.

– Masz talent – zawyrokował. – Jesteś urodzonym chirurgiem.

Komplement uspokoił mój podrażniony żołądek. Opanowanie tej umiejętności w tak krótkim czasie dało mi pewność siebie, którą przedtem odczuwałem, grając w bejsbol, zanim moja szczytowa forma okazała się niewystarczająca dla pierwszej ligi, a trenerzy nagle zaczęli mi mówić, że jednak nie mam tego czegoś. Oczywiście czekała mnie jeszcze długa nauka, ale pochwała od kogoś takiego jak McCabe pozwalała mi optymistycznie spojrzeć w przyszłość.

Nazajutrz, podczas łykanego przed świtem śniadania z dumą wręczyłem Axelowi wilgotną, sponiewieraną skórkę.

– Bardzo ładnie – ocenił, z gracją unosząc łupinę ponad talezrem z naleśnikami. – Jesteś już prawie gotów.

Napawając się komplementem, pomyślałem o sali operacyjnej i o tym, na co jestem gotów. Oczami wyobraźni widziałem, jak wyciągam kulę z ciała ofiary bezsensownej przemocy, a potem z opanowaniem zszywam ranę.

– Ustalmy podstawowe zasady – wymamrotał Axel, pochłaniając swój posiłek. – Po pierwsze, myjesz się do operacji jako pierwszy. Po drugie, nie odzywasz się niepytany. Po trzecie, codziennie wkładasz czysty mundurek, a w szafce trzymasz koszulę i krawat na dni, kiedy mamy wykład kliniczny.

– Jasne. – Zacząłem pisać na dłoni słowo „krawat”.

– Proszę, nie pisz sobie po rękach.

Wstaliśmy od stołu, a gdy Axel pozbył się tacy i zmaltretowanej skórki banana, z żalem uzmysłowiłem sobie, że trochę się do niej przywiązałem. Gdy szliśmy do sali operacyjnej, położył mi rękę na lewym ramieniu, zatrzymując mnie. Był wysoki, ale zły, niezbyt barczysty.

– Dam ci kilka rad, które przekazano mi, kiedy zostałem chirurgiem – oznajmił. – Możesz je uznać za coś w rodzaju podręcznika przetrwania chirurga. – Na moment zamknąłem oczy, dając do zrozumienia, że będę bacznie słuchać. – Jedz, kiedy możesz jeść. Śpij, kiedy możesz spać. Kiedy możesz wyciąć numerki, wycinaj. Tylko nie wytnij trzustki.

Po udanym założeniu szwów skórcie banana otrzymywałem od Axela mnóstwo coraz bardziej skomplikowanych zadań. Wpuszczano mnie na salę operacyjną, gdzie mogłem pracować na laparoskopie, podczas gdy Axel usuwał chore organy, a wkrótce to ja usuwałem wyrostki robaczkowe albo pęcherzyki żółciowe (ale, rzecz jasna, nie trzustki). Miałem wrażenie, że ze studiami medycznymi jest jak z bejsbolem albo sztuką: uzdolnieni neofici zyskują uwagę nauczycieli i są kierowani tam, gdzie mogą odnieść sukces.

Na oddziale ratunkowym szpitala Massachusetts General nauczyłem się zszywać ludzką skórę. Moimi pierwszymi pacjentami były nieprzytomne ofiary wypadków drogowych, którym należało założyć kilka szwów na ramionach i nogach. Z zachwytem patrzyłem, jak otwarte rany zamykają się za jednym pociągnięciem nici. Potem zacząłem zajmować się przytomnymi pacjentami i już wkrótce zakładałem szwy na twarzy. Moje przerażenie zniknęło wraz z lękiem, który widziałem w ich oczach. Pierwsza rana szarpana twarzy, jaką zszyłem, została zadana przez tukana, który dziobnął swoją właścicielkę w usta. Axel zwrócił uwagę, że przed założeniem pierwszego szwu najważniejsze jest ustawienie wargi.

– Jeśli granice czerwieni wargowej będą przesunięte – tłumaczył, manipulując ustami kobiety – pacjentka zostanie trwale oszpecona. No, bierz się do roboty.

Wkrótce zszywanie ludzi objawiło mi się jako wymagające kunsztu rzemiosło – albo wręcz sztuka – mogące stać się moim

powołaniem. Taki zabieg jest jak płótno, którego wypełnienie wymaga podjęcia mnóstwa pojedynczych decyzji, lecz we wszystkich wypadkach istnieje jeden klucz – właściwe ułożenie krawędzi rany, wybór optymalnego miejsca do założenia pierwszego szwu. Można zauważyć, że nieustanna praktyka czyni z uzdolnionych chirurgów mistrzów, którzy potem żartują o wykonywaniu niektórych operacji przez sen.

Proces naprawiania okaleczonego człowieka głęboko mnie zainteresował. Dzień po dniu przeczesywałem poczekalnię w poszukiwaniu ran i każdej okazji do dalszego doskonalenia umiejętności. Wyczuwałem, że moja rola obiecującego studenta wpływa także na Axela. Sprawiał wrażenie mniej wyczerpanego, mniej zgorzkniałego. Coraz częściej też raczył mnie światłymi radami:

*Przed czterdziestką nie zakładaj muszki do pracy,
bo będziesz wyglądał jak palant.
Chirurdzy urazowi nie umawiają się na wizyty.
Nie sraj we własne gniazdo.
Nie kupuj motocykla.*

Po zakończeniu trzymiesięcznej praktyki Charlie McCabe wezwał mnie do swego gabinetu. Gdy wyjmowałem z kieszeni spodni zestaw do zakładania szwów, żeby móc usiąść, obaj spojrzeliśmy na fragment jego biurka, na którym po raz pierwszy pokazał mi, jak używać igły i nici. Zdjął okulary i niezgrabnie przetaił je chusteczką.

– Nie będę owijał w bawełnę – zaczął. – Masz talent. Rozmawiałem z Axelem, rozmawiałem z kolegami. Widziałem to na własne oczy. – Z trudem zapanowałem nad uśmiechem. – Osobiście uważam, że byłbyś głupcem, gdybyś nie spędził reszty życia na sali operacyjnej. – Zostałem wychowany w katolickiej rodzinie, ale na studiach licencyjnych przestałem chodzić do

kościół. Słowa McCabe'a spadły na mnie niczym krople wody święconej. – Jednak nie będę ściemniał – ciągnął. – To ciężki kawałek chleba. Na tym etapie musisz sobie zadać bardzo podstawowe i na pozór proste pytanie: czy możesz sobie wyobrazić, że jesteś szczęśliwy, zajmując się czymś innym niż chirurgia?

Na tym etapie bardzo zależało mi na uszczęśliwieniu Charliego McCabe'a. Jednak siedząc naprzeciwko niego, w wieku dwudziestu sześciu lat, wiedziałem, że mogę odpowiedzieć „tak”. Zaledwie przed kilkoma tygodniami zacząłem rozważać możliwość wybrania zawodu chirurga. Wprawdzie ta praca mi się podobała – było to coś nowego i fascynującego – lecz nie miałem przekonania, że chirurgia jest moim powołaniem. Dawałem sobie radę ze wstawaniem piętnaście po czwartej, ale czy nadal tak będzie, gdy stuknie mi czterdziestka? Albo (ojej!) pięćdziesiątka? Żaden ze znanych mi chirurgów nie wyglądał na szczęśliwego. Ale z drugiej strony, czy ktoś taki w ogóle istnieje?

Axel był kimś, kogo podziwiałem, ale nie kimś, komu zażdrościłem. W kilku podsłuchanych przeze mnie rozmowach telefonicznych raczej rezygnował z planów, niż je układał. Opryskliwe maniery i wory pod oczami dały mi jakieś pojęcie o jego trudnym, stresującym życiu, a ja nie byłem pewien, czy chcę iść w jego ślady.

– Lubię przebywać na sali operacyjnej – powiedziałem z wahaniem. McCabe wykształcił kilku najlepszych chirurgów w kraju. Nie chciałem stracić życiowej szansy, ale nie chciałem też być nieszczerzy wobec niego czy wobec siebie. Zamierzałem odrzucić jego propozycję. – Będę mógł się z panem skontaktować? – spytałem.

McCabe opuścił wzrok na biurko z uśmiechem, jaki mógłby pojawić się na twarzy faceta, który usłyszał pikantny dowcip w mieszanym towarzystwie.

– Jasne – powiedział łagodnie. – Oczywiście.

Umiejętności nabyte na chirurgii – zakładanie szwów, obsługiwanie laparoskopu, łapanie tętnic do szycia – stały się

moimi najlepszymi wspomnieniami ze studiów medycznych. Posiadałem złożone, specjalistyczne przygotowanie, ale dwa tygodnie po ukończeniu Harvard Medical School w czerwcu 2008 stały się one dla mnie bezużyteczne. Właśnie szykowałem się do pierwszego dyżuru na oddziale intensywnej opieki kardiologicznej szpitala klinicznego Columbia University Medical Center.

Polub nas
na Facebooku 

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

Fot. Nina Subin



Matt McCarthy

jest autorem amerykańskich bestsellerów, *Prawdziwy lekarz będzie za chwilę*, *Odd Man Out* oraz *Superbugs*. Pracuje jako adiunkt na uczelni medycznej Weill Cornell oraz lekarz specjalista w New York-Presbyterian Hospital.

Jest też członkiem Komitetu Etyki tego szpitala. Jego teksty ukazały się na łamach „Sports Illustrated”, „Slate”, „The New England Journal of Medicine” oraz „Deadspin”. Recenzuje literaturę faktu dla „USA Today” i jest redaktorem naczelnym periodyku „Fungal Infection Reports”.

„Lektura obowiązkowa dla każdego, kto zamierza być lekarzem albo po prostu wybiera się do lekarza”. **Lisa Sanders**

„Przezabawna, przerażająca i niezwykle inspirująca książka”. **Steve Fainaru**

„Fascynujący opis metamorfozy niepewnego własnych umiejętności stażysty w wykwalifikowanego lekarza”. **DISCOVER**

„Czysta przyjemność... połączenie rozrywki ze spojrzeniem na nieznaną świat”. **USA TODAY**

PRAWDZIWY LEKARZ BĘDZIE ZA CHWILĘ

Poruszające wspomnienia absolwenta medycyny z burzliwego roku pracy stażysty w szpitalu. Historia stawania się lekarzem, wciągająca czytelnika na oddziały intensywnej opieki, do sal pacjentów i pokoi lekarzy, by pokazać, jaką drogę od niekompetencji do fachowości przebywa każdy początkujący medyk.

Matt McCarthy marzył, że będzie idealnym lekarzem, potrafiącym leczyć i dotrzeć do pacjentów jak mało kto przed nim. Jednak gdy podczas jego pierwszego dyżuru w szpitalu nowo przyjęty pacjent niemal umiera na oddziale intensywnej opieki kardiologicznej, Matt przekonuje się, że nie będzie łatwo... Marzenia o doskonałości szybko ustępują pragnieniu, by po prostu przetrwać w szpitalu, gdzie trudno bez strachu wykorzystać wiedzę wyniesioną ze studiów i ratować życie ciężko chorym pacjentom. Tym bardziej że stażysta będzie prawdziwym lekarzem dopiero za chwilę. Może nawet dłuższą.

Wspomnienia McCarthy'ego są zabawne i szczerze, pozbawione patosu i zrozumiałstwa, a jednocześnie trafnie opisują trudy i paradoksy procesu stawania się lekarzem. Prawdziwym lekarzem.

Książka dla tych, którzy już wiedzą, że będzie bolało, ale jeszcze nie wiedzą, jak bardzo.

ISBN 978-83-8074-262-8



9 788380 742628

Cena 39,90 zł
(w tym VAT)

www.bukowylas.pl

Polub nas
na Facebooku



Patronat

